

ra wysoka nie była wcale wyłączną domeną lepiej wykształconych i zamożniejszych warstw społecznych. Tak zresztą było jeszcze przed wojną. Pewien antykwariusz opowiadał mi, że był synem warszawskiego tramwajarza i ojciec zabierał rodzinę do teatru, a nawet do opery. Prawda, że - jak to mawiano - na jaskółkę, czyli na najtańsze miejsca na samej górze, bo na takie było go stać. Ale stary tramwajarz zakładał, że jego dzieci mogą wspinać się po drabinie awansu ekonomicznego i społecznego, więc przygotowywał je do tego kulturowo.

Jeśli kogoś nie przekonałem, że to nie kapitalizm odpowiada za komercjalizację kultury, to przypomnę jeszcze, że wielkie dzieła sztuki od starożytności do odrodzenia były robione na zamówienie: władców świeckich i duchownych, ale także np. rad miejskich miast włoskich w okresie kapitalizmu kupieckiego. Nie będzie zapewne przesadą, jeśli stwierdzę, że więcej arcydzieł powstało na zamówienie niż ze spontanicznej potrzeby twórców. I Fidiasz, i Michał Anioł tworzyli za pieniądze i wcale nie umniejszało to wielkości ich dzieł. Zwłaszcza ten ostatni zawierał umowy o dzieło (co w jego wypadku miało pełną podstawę do tej nazwy!), narzekał, że mało mu płać, klócił się i procesował z zamawiającymi, a mimo to tworzył arcydzieła.

Jednak ani wówczas, ani do lat 20-30. XX wieku nie było skłonności do równania kulturowego w dół. Źródeł odrzucenia potrzeby naśladowania dobrych wzorów szukać należy w braku bodźców do ich naśladowania. Inni naśladowali w przeszłości swoich zwierzchników dlatego, że otwierało to drogę do awansu ekonomicznego. Część z nich połykała po drodze bakcyla wysokiej kultury. Otóż twierdzę, że dziś w cywilizacji zachodniej tych właśnie bodźców brakuje bądź są coraz słabsze.

Jako przykład wezmę Niemcy. W latach 1994-2003, gdy wykładałem na Uniwersytecie Viadrina we Frankfurcie, ekonomiści alarmowali, że struktura płac w Niemczech nie sprzyja podnoszeniu kwalifikacji. Bzdury w raporcie OECD wskazywano, że robotnik niewykwalifikowany zarabiał pod koniec ostatniej dekady XX wieku przeciętnie 97 proc. płacy robotnika średnio wykwalifikowanego (przyuczonego do pracy przy taśmie produkcyjnej). Jeśli do tego dodamy liczne na Zachodzie świadczenia, można powiedzieć, że standard życia niewykwalifikowanego robotnika w Niemczech w bardzo niewielkim, a może i żadnym stopniu zależał od jego

kwalifikacji. I dlatego nie opłacało mu się lepiej pracować, doksztalać itd.

Zresztą i na drugim końcu drabiny kwalifikacji, wśród profesorów uniwersytetów, struktura bodźców zniechęcała do zrobienia czegokolwiek ponad wymagane minimum. Tutaj przyczyną są bardzo wysokie podatki. Jeśli profesorowi za godzinę dodatkowego wykładu zabiera się ponad dwie trzecie stawki godzinowej, mało kto będzie się starał pracować więcej. A że podwyżki nie zależą - jak w USA - od liczby i jakości publikacji, to profesorowi nie bardzo opłaca się poświęcić czas na pisanie książek oraz artykułów.

„W telewizji jest coraz teledurniej” - to cytat z mistrza pióra, Antoniego Słonimskiego. Sęk w tym, że coraz durniej jest nie tylko w telewizji. A spory wkład do erozji wysokiej kultury ma, oprócz braku bodźców do naśladowania stojących wyżej, obsesja równości. Włącznie z równo-

WIĘCEJ ARCYDZIEŁ POWSTAŁO NA ZAMÓWIENIE NIŻ ZE SPONTANICZNEJ POTRZEBY TWÓRCÓW

cią kulturową. Wszyscy są równi: kultury, które wniosły wiele do światowego dziedzictwa, i takie, o których nie da się wiele powiedzieć nie tylko dobrego, ale czegokolwiek. Równi są wybitni pisarze i grafomani, malarze i grafficiarze zanieczyszczający płoty i ściany budynków. Nawet brzydota i piękno też powinny mieć równy dostęp do salonów wystawowych.

Brzydota zresztą wydaje się mieć ostatnimi czasy znaczną przewagę, w końcu tak długo była dyskryminowana! Zwrócił na to uwagę w latach 90. XX wieku nieżyjący już, niestety, profesor Wiktor Zin. Zalew brzydoty w wykonaniu rozmaitych beztalenci, domagających się równości w dostępie do państwowych stypendiów i wernisaży, owocuje także i tym, że gdy chce się kupić coś odzwierciedlającego kanony piękna, to jest się skazanym głównie na dzieła z przeszłości.

Dlaczego jest w kulturze coraz (tele)durniej, pomoże zrozumieć także wielki sukces serialu telewizyjnego o rodzinie Kiepskich usytuowanej poniżej niewysokiej skądinąd średniej. Oglądanie programu o poczynaniach nieudaczników ze środowiska znajdującego się na poziomie tylko nieco niższym niż sam oglądający staje się źród-

łem dobrego samopoczucia milionów. Proszę! - zdają się mówić. - Jestem lepszy! I to - co najważniejsze - nie wykonując żadnego wysiłku, by lepiej pracować, podnosić kwalifikacje, przejmować standardy i aspiracje zamożniejszych oraz lepiej wykształconych. I tak jest mi całkiem nieźle. Miliony mierznot wyznają (zupełnie nieświadomie) slogan z kabaretu Długi z lat 80.: „Jest nieźle, będzie jeszcze nieźle!”

Biorąc pod uwagę schyłkowe tendencje w świecie zachodnim, nie byłbym taki pewny, że „będzie jeszcze nieźle”. Obecną fazę cywilizacji zachodniej porównałbym do starożytnego Rzymu w fazie powolnego rozkładu cesarstwa. Symbolem roszczeń rzymskiego plebsu były chleb i igrzyska, czyli mówiąc językiem współczesnym: socjal i tandetna kultura masowa.

Przed 10 laty, podczas dyskusji na temat erozji kultury wysokiej, którą symbolizował „Big Brother”, filozof prof. Jacek Hołowka proponował jako terapię, by masy przyjrzały się sobie w lustrze. To była błędna rekomendacja, gdyż masy - przeglądające się w lustrze reality show - wcale dobrze się z tym czuły. Proponowałem wtedy, by raczej zastanowić się nad konsekwencjami systemów podatkowych i wydatkowych, które stworzyły - jak to celnie sformułował inny filozof, prof. Bronisław Łagowski - prawo do cudzego dochodu.

Konsekwencją tego prawa do cudzego dochodu - wynikającego z obsesji równościowych i mirażu otrzymania czegoś za nic - jest właśnie lekceważący stosunek do aspiracji zawodowych i kultury wysokiej. Oczywiście, takie tendencje nie mogą utrzymywać się wiecznie. Dziesięć lat temu można jeszcze było mieć iluzję, że coś się zmieni na lepsze, bez załamania się państwa opiekuńczego. Dzisiaj, gdy załamywanie się państwa opiekuńczego w zamożnych krajach Zachodu widać już niemal gołym okiem, wiadomo, że jesteśmy blisko końca socjału w jego obecnej, demoralizującej postaci.



Prof. Jan Winiecki jest autorem kilkunastu książek z dziedziny ekonomii. W latach 1999-2007 przewodniczył radzie Towarzystwa Ekonomistów

Polskich, był członkiem Politycznego Komitetu Doradczego prezydenta Lecha Wałęsy, dyrektorem wykonawczym Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, obecnie jest członkiem Rady Polityki Pieniężnej, a także profesorem w Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie oraz Wyższej Szkole Europejskiej w Krakowie